

To lubię!
Mariusz Kalandyk

Eskapizm

Mój stary druh z niwy konsultancko-objazdowej powtarza mi ostatnio, że chociaż wyglądam jak Mojżesz w wieku zasadniczo średnim, więc powinienem mieć zdrowe poczucie miar i wag – brakuje mi piątej kleпки.

Trochę się oburzyłem i nawet wzdrygnąłem na takie *dictum*, które wbiło się sójką w bok lewej strony mego płata skroniowego, ale po chwili namysłu dotarło do mnie, iż wiele reakcji mych nagłych emocjonalnych każe mu słusznie przypuszczać, że tak może być w istocie! Nie tylko szarej!

Dużo ostatnio się unoszę, okazuję wyraziście zdenerwowanie swe nagłe. Mówię głosem tubalnym. Rezonuję. Macham, czym mam pod ręką. Cytuję. Powtarzam i komentuję. Mówię do siebie. Wstaję i siadam. Manipuluję kablami!

Koleżeństwo znosi(ło) to jakoś, a potem usłyszałem, że pozory mylą. Wygląd też.

Nie mogę wyjść ze zdumienia.

No – nie mogę!

Bo przecież wszystkie moje czyny służą jednemu – by jak najszybciej ruszyć ścieżką chrześcijańskiego lub

buddyjskiego mnicha w kierunku wyciszenia, kwietyzmu, alienacji i eskapizmu. Doskonale w sobie wszystkie cnoty uważności, bycia tu i teraz, smakowania chwili i innych owoców czasu, który dać może wiele osobom „w to, co tu” zanurzonym.

Co wobec tego „nie sztytuje”? Gdzie, w zamyśle kojące, działanie dążące do „bycia poza” ukazuje inną – czerstwą twarz – Raptusiewiczza?

Ten felieton nie chce być żartobliwy. Straszność różnych spraw wyłania się ze śmieszności, krotochwili, burleski i witzu. Przerazenie z dobrze opowiedzianej anegdoty lub kawału. Lęk ze śmiesznej sytuacji, *qui pro quo*, freudowskiego przejęzyczenia lub swojskiego przekleństwa. A o nie (to ostatnie) czasami najłatwiej i najprościej. Nawet gdy resztki dobrych manier nie pozwalają a koleżanki zaczynają jakoś tak dziwnie obchodzić człowieka bokiem.

Nadmiar łotrostwa, nikczemności, łajdactwa i zbrodni spada nam ostatnio na głowy w ilościach biblijnych, bandyta ubrany w ornat błogosławi czołgi, prostaczek boży modli się

za notorycznego zbira, ostentacyjne kłamstwa traktuje się jak mannę zrzucaną z nieba przyzwoitości a własną podłość podnosi do rangi cnoty.

Noc, która zawitała w samo południe, ów półmrok wyłazący z każdego kąta, owocuje różnymi naszymi reakcjami obronnymi. Wzrasta nasza nerwowa aktywność, wielość inicjatyw codziennych, pokazywanie sprawczości i umiejętności decyzyjnych, redakcyjnych cymeliów, oratorskich perfekcyjności, wytrawności smaku w modzie i gustach gastronomicznych. Obyczajowym luzie lub religijnym fanatyzmie.

Noc, która do nas zawitała, nieprędko odejdzie, a przecież potrafimy robić rzeczy wspaniałe i heroiczne, dobre i mądre. Giną one jednak w tym półmroku, szarzeją, blakną, tracą na ostrości i wyrazistości, tracą znaczenie i powab. Między nasze relacje, nigdy przecież idealne, zawsze jednak uczulone na Innego, wdarł się trujący powiew podejrzliwości, gnilny jad niechęci, wręcz rasistowski czasami odruch odrazy. Pomiedzy arcyłudzki gest solidarności między nami wdarł się ruchliwy, szyderczy język posądzenia, oszczerstwa, nienawiści.

Jest już późno; bardzo możliwe, że jest już zbyt późno. Lecimy w dół na samo dno owej ciemności.

I nic już tego nie zmieni.

Mariusz Kalandyć